NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp. na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 472.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódź, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XIX. Kraków, 15 kwietnia 1922. Nr. 15

Wesoły nam dziś dzień nastał!...



Dzwony Zmartwychwstania.

Dzwony setkami spoczęły na trawie,
Jak ptaki, niegdyś powietrzne, pamiętasz?
Widzisz je głuche i nieżywe prawie,
To dzwonów wygnanych cmentarz.

Codzień przychodzą tu ludzie po pracy,
A stróż dziedzińca pielgrzymką zdumiony
„Pobożny naród — mówi — ci Polacy,
Że tak odwiedza swe dzwony".

Dawniej, by odbyć wędrówkę doroczną
Do Rzymu, sznurów rozrywały węzły —
Zmyliły drogę widać w burzę mroczną,
Skoro na Wschodzie ugrzęzły...

O dzwony! śpijcie — dopiero w kościele
Z wieżyc kolebiąc się, serca odsłońcie —
I poraz pierwszy, nie chrzest ni wesele,
Lecz cud Zmartwychwstań wydzwońcie!

Franciszek Xawery Pusłowski.

Wszystkim P. T. Czytelnikom i Przyjaciołom przesyła Redakcya serdeczne życzenia

„Wesołego Alleluja!"

Poświęcenie boiska T. S. „Wisła".

W dniu 8 b. m. odbyło się poświęcenie nowozałożonego parku gier i zabaw sportowych najstarszego krakowskiego Tow. Sport. „Wisła".

Po nabożeństwie w kaplicy loretańskiej przy kościele O.O. Kapucynów, poświęcił O. Anioł, Kapucyn, nową placówkę sportową i w serdecznem przemówieniu wyraził Towarzystwu życzenia, aby stała się ona ośrodkiem wychowania fizycznego młodzieży polskiej. W nabożeństwie i uroczystości



Poświęcenie boiska T. S. „Wisła": Poświęcenie boiska przez O. Anioła, Kapucyna.

poświęcenia wzięli udział przedstawiciele kół sportowych krakowskich, członkowie towarzystwa, reprezentacya lwowskiej „Pogoni", zaproszona na ten dzień celem rozegrania matchu footbalowego, oraz licznie zebrani goście. Wiceprezes „Wisły" p. Wojas złożył imieniem Towarzystwa podziękowanie licznie zebranym delegatom władz, klubom i prasie za łaskawe przybycie, kończąc okrzykiem na cześć Naczelnika Państwa, szczerego opiekuna sportu.

Przemówienia wygłosili nadto: prezes polskiego Związku piłki nożnej dr. Cetnarowski, prezes krakowskiego okręgowego związku Dembiński, wiceprezes lwowskiej „Pogoni" Parylak.

Nowy park sportowy mieści się na dawnym torze wyścigowym tuż za parkiem dra Jordana, a rozporządza obszernem boiskiem dla zawodów w piłkę nożną i efektownymi trybunami dla widzów.

Nowy sułtan Egiptu.

Uznanie samodzielności Egiptu stało się faktem dokonanym. W dniu 15 marca b. r. zmuszoną była Anglia, acz z bólem serca, na uwzględnienie żądań egipskich nacyonalistów, ogłoszono suwerenność tego kraju, a pierwszym sułtanem został książę Fuad.

Angielska okupacya Egiptu i jej tamże rządy doprowadziły do takiego stanu rzeczy, iż Londynowi nie pozostawało nic innego, jak ustąpić, a uznając się przekonać. Warunki ustalone w raporcie Milnera, stały się podstawą aktu, uznającego suwerenność i niezawisłość Egiptu, przy zawarowaniu interesów angielskich.

Sułtan Fuad urodził się we Włoszech i jest zdeklarowanym zwolennikiem polityki włoskiej.



Poświęcenie boiska T. S. „Wisła": Wręczenie proporca przez przedstawicieli lwowskiej „Pogoni" pierwszej drużynie „Wisły" podczas uroczystości poświęcenia boiska.

samodzielność egipską zapewnić sobie drogę przez kanał Suezki do Indyi.

Ostatnie powstanie Egipcyan przeciw Anglii było następstwem wypadków, stojących w ścisłym związku z wojną światową. Egipt, który jako podstawa operacyi angielskich przeciw Turcyi, ucierpiał wiele, chwycił za broń a Anglia w ocenie tego położenia wysłała do Egiptu lorda Milnera ze specyalną misyą zbadania warunków ewentualnej ugody z nacyonalistami egipskimi. Milner przybył do Egiptu, zbadał stosunki, wykrył szereg ciężkich błędów w administracyi angielskiej, przedewszystkiem jednak przekonał się na miejscu, że o warunkach porozumienia i ugody może traktować tylko z jednym człowiekiem, który jest duchowym wodzem całego nacyonalizmu egipskiego, a którego Anglia skazała na wygnanie. Jest to mianowicie Zaglul-basza, mieszkający stale w Paryżu. Lord Milner wróciwszy do Londynu, nie zawahał się wejść z Zaglulem w rokowania, wreszcie zaprosił go na czele całej delegacyi nacyonalistyczno-egipskiej do Londynu.

Tu rokowania poszły stosunkowo gładko. Wkrótce mógł Milner na ich podstawie wystąpić z szeregiem konkretnych wniosków co do pacyfikacyi Egiptu. Wnioski te sformułował i umotywował w akcie publicznym, nazwanym „Milner report": Egipt zostaje uznany za państwo suwerenne i niezawisłe pozostające z Wielką Brytanią w ścisłym sojuszu. Posiada ona własną administracyę, z której urzędnicy angielscy będą stopniowo usunięci. Kiedy w Egipcie dowiedziano się o treści warunków Milnera, zapanowała wielka radość i tryumf. Nie było wątpliwości, że opinia publiczna w Egipcie aprobuje je z pełnem zadowoleniem. Ale widząc taki skutek warunków, komisarz angielski, lord Allenby, zaczął żałować, że poczyniono ustępstwa nacyonalistom egipskim. Rozpoczął więc fatalną politykę utrudniania ustalonych warunków i sabotowania ich. Miało to jednak ten skutek, że w Egipcie znowu wybuchły zaburzenia, jeszcze groźniejsze, niż poprzednie.

Zaskoczony wypadkami rząd londyński mający do czynienia jeszcze z potęgującem się wrzeniem w Indyach, postanowił za wszelką cenę uprzątnąć stół w Egipcie.

Bez wahania tedy odwołali Allenbyego z Egiptu, a prowadzenie ponownych rokowań powierzyli znowu Milnerowi. W Londynie także i lord Allenby dał

Rosyjscy monarchiści dają znak życia.

W powrocie z Paryża Milukow wygłosił w sali Filharmonii w Berlinie odczyt o sytuacyi w Rosyi i perspektywach przyszłości. W chwili gdy schodził z trybuny dwaj młodzi ludzie przyskoczyli do niego i strzelili z rewolwerów. Widząc to przyjaciel jego Naboków stanął przed nim i ochronił go ciałem swojem, sam jednak padł ugodzony śmiertelnie kulą. Prócz niego rannych jest jeszcze pięć osób. Mordercy usiłowali z trybuny wyjaśnić motywy czynu, zostali jednak ujęci przez policyę. Są to dwaj byli oficerowie carscy Szabelski Bork i Taborycki.

Uważają jednak za rzecz pewną, że Szabelski-Bork i Taborycki nie działali z własnej inicyatywy,



Poświęcenie boiska T. S. „Wisła": Członek „Wisły", Wiśniewski z pamiątkowym proporcem ofiarowanym przez lwowską „Pogoń".

i że tylko dostarczenie znacznych środków pieniężnych umożliwiło im ostatnią podróż do Berlina.

W związku z tem zajściem zostali też aresztowani rosyjscy monarchiści, którzy w restauracyi „Rotes Haus" odbywali zgromadzenie. Prócz monarchistów znajdowali się na zgromadzeniu rosyjscy

reprezentanci międzynarodowej gildy kieszonkowych złodziei, którzy wydatnie skorzystali z zamięszania powstałego z powodu wkroczenia policyi. Prócz licznych mniejszych operacyi, policya notuje poważną stratę 300.000 marek niemieckich, poniesioną przez pewnego rosyjskiego profesora.

Policyi nie udało się dotychczas wyśledzić wspólwinnych.



Nowy sułtan Egiptu: Ahmed Fuad I proklamowany sułtanem w dniu 15 marca b. r.

Otwarcie Wystawy

wyrobów koszykarskich w Krakowie.

Przemysł nasz rodzimy, dotąd stale zaniedbywany, w samodzielnej Polsce rozwija się coraz pomyślniej, zapewniając krajowi naszemu nietylko zaspokojenie swych własnych potrzeb, ale i eksport za granicę, gdzie niektóre z wyrobów cieszą się już dziś zasłużonem uznaniem i znajdują popiatne rynki zbytu.

Powiedzieć to można przedewszystkiem o wyrobach z zakresu koszykarstwa w rozmaitych jego gałęziach, które już w przedwojennych czasach osiągnęły taki poziom, iż mogły śmiało konkurować z zagranicą. Produkcya w tym kierunku skutkiem wojny została przerwana, obecnie podjęto ją napowrót i rozwinięto bardzo pomyślnie. Świadczy o tem otwarta w dniu 6 kwietnia b. r. w salach Syndykatu Koszykarskiego wystawa wyrobów koszykarskich, która wykazała artykuły masowej produkcyi, przeznaczonej na światowe rynki zbytu, jakie nasz przemysł koszykarski zdobył przed wojną, a obecnie dzięki samodzielności gospodarczej niezmiernie rozwinął. W produkcyi tej dostosował się przemysł ten do wymagań klienteli zagranicznej, do jej przyzwyczajeń, do typów, których ona wymaga.

Głównym artykułem jest meblarstwo, tak wykonywane ściśle z surowców i materyałów krajowych, jak niemniej z trzciny kombinowanej z robotą tapicerską, poszukiwane w Anglii, Francyi i Ameryce.

Masowym produktem są także kosze podróżne, walizy i wszelkiego rodzaju kosze targowe, jak niemniej wyroby galanteryjne, wykonywane z taśm i plecionek rafiowych i sznurowych.

Uroczyste otwarcie, zagajone przez członka zarządu red. Romana Woyczyńskiego zaszczycili swoją obecnością wicewojewoda dr. Kowalikowski, sędzia Schwarcenberg-Czerny, dr. Beres, prez. Izby skarbowej Gajewski, dyrektor Okr. Polsk. Banku Handlowego dr. Izydor Modrycki, dyr. Banku Ziemskiego Kredytowego Bieżański, naczelnik dyrekcyi rzek spławnych Poźniak, inż. Witold Ostrowski, inż. Kazimierz Skrochowski, inspektor pracy, Stanisław Pollmann, naczelnik stac. krak. prof., Axentowicz, inż. Facher, dr. Dudek.

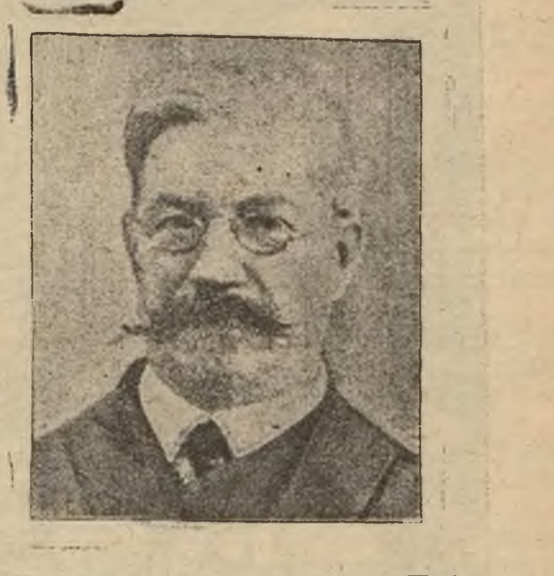
Rozwój przemysłu koszykarskiego w naszym kraju ma dla ludności bardzo doniosłe znaczenie, zapewnia jej bowiem pokaźne zyski, a ujęcie kierownictwa w ręce Syndykatu daje pewność, że nasze koszykarstwo, racyonalnie poprowadzone, stanie się jedną z dźwigni polskiego przemysłu, którego rozwój powinien stanowić troskę i cel starań naszego społeczeństwa, przedewszystkiem zaś czynników rządowych i instytucyi finansowych, aby bogactwo kraju, obfitującego we wszelaki surowiec, nie było narażone, jak to bywało dotąd, na szkodliwą konkurencyę zagranicy, zabierającej nam za śmiesznie niskie ceny materyał surowy, a zalewającej kraj wyrobami swego przemysłu, opłacanymi przez nas bardzo słono.

Francya a rasa żółta.

Rozbieżność kierunków polityki dwu państw sprzymierzonych, Francyi i Anglii, odnośnie do spraw Wschodu, w szczególności zaś rasy żółtej, występuje coraz jaskrawiej. Z dotychczasowych wyników okazuje się, że Francya obrała daleko korzystniejszą dla siebie drogę, a jej umiarkowana polityka wzmocniła znacznie jej wpływy i zapewniła bezpieczeństwo jej zamorskim posiadłościom. Baczną uwagę zwraca rząd francuski przedewszystkiem na Afrykę północną, gdzie francuskie wpływy ugruntowały się silnie w Algierze, Tunisie i Maroku. W krajach tych zwłaszcza przemysł francuski znalazł dla siebie pożądane rynki zbytu, poza tem usadowienie się na północnem wybrzeżu Afryki zapewniło bezpieczeństwo południowym granicom francuskim i oddało w ręce Francyi faktyczne posiadanie zachodniej części morza Śródziemnego. Kolonie afrykańskie mają wiele do zawdzięczenia Francyi tak pod względem uprzemysłowienia, jak również wprowadzenia kulturalnych urządzeń, przyjmowanych przez miejscową ludność bardzo życzliwie.

Najgroźniejszy wróg Anglii w Indyach.

Pisząc o ruchu antiangielskim w Indyach, wspominaliśmy kilkakrotnie nazwisko głównego przewódcy ruchu narodowościowego wśród Hindusów „proroka“ Gandhiego, który wywiera wpływ wprost magiczny na miliony swych współwyznawców, posłusznych każdemu jego skinieniu. Gandhi jest otwartym wrogiem Anglii, dążącym świadomie do swojego celu, a tym jest uwolnienie kraju z pętów niewoli. Propagandę swą antiangielską prowadzi Gandhi w sposób stosunkowo bardzo umiarkowany, nie



Rosyjscy monarchiści dają znak życia: Wybitny przedstawiciel rosyjskich kadetów, Milukow, na którego niedawno wykonano zamach w Berlinie.

uciekając się do jakichś nadzwyczajnych środków terrorystycznych lecz postępując zwolna, a systematycznie, rujnuje angielskie wpływy w Indyach krok za krokiem, głosząc, że Indye są dla Hindusów i wzywając do bojkotu władz i urządzeń angielskich. Miliony Hindusów są sfanatyzowane przez Gandhiego i wystarczyłoby jedno jego słowo, aby wywołać w kraju gwałtowny przewrót, który musiałby pociągnąć za sobą ofiary w tysiącach ludzi. Tego jednak „prorok“ widocznie sobie nie życzy, uważając za skuteczniejszą dotychczasową swoją działalność, ocenianą należycie przez miarodajne koła angielskie, widzące w Gandhim duchowego przewódcę ruchu nacyonalistycznego wśród Hindusów. Lord Reading, wicekról Indyi długo się też zastanawiał nad tem, nim zdecydowano się aresztować Gandhiego, postawić przed sądem i skazać na sześć lat więzienia, zdając sobie dobrze sprawę z tego, jakie wrażenie fakt ten wywrzeć musi na masy hinduskie. Angielscy politycy, a z nimi i wicekról Indyi. zatroszczyli się zupełnie słusznie o następstwo tej represyi, skoro bowiem antiturecka polityka Anglii stała się powodem gwałtownego ruchu wśród mas muzułmańskich, tem głośniejszem echem odbić się musi uwięzienie Gandhiego, które zamiast wpłynąć uspokajająco na umysły, przyczyni się do obudzenia jeszcze większej nienawiści przeciw ciemię-



Otwarcie wystawy wyrobów koszykarskich w Krakowie: Motyw wystawy otwartej w dniu 6 kwietnia b. r.



Francya a rasa żółta: Uczestnicy uroczystego otwarcia francuskich zakładów przemysłowych w Moghora (Tanger).

zcom i podjęcia starań, aby dążyć do jego uwolnienia za każdą cenę.

Watykan za rządów nowego Papieża.

Nowoobrany Papież, Pius XI., prowadzi życie w murach Watykanu niezbyt różniące się od życia swych bezpośrednich poprzedników. Wybrany przez postępową partyę kardynałów, przyjął imię Piusa, jak gdyby na dowód, że pozostanie wiernym polityce dwu ostatnich papieży, noszących to imię.



Najgroźniejszy wróg Anglii w Indyach: Przewódcy ruchu narodowościowego w Indyach z „prorokiem" Gandhim (X) w pośrodku. Obok niego po lewej stronie Amerykanin Johnson, przybyły do Indyi celem popierania jego antialkoholicznej propagandy.

Zdaje się być niewątpliwem, że za rządów Piusa XI. zbliżenie Kuryi Apostolskiej do rządu włoskiego postąpi jeszcze dalej naprzód, obecnie już nie uważa się w Watykanie Rzymu za kraj zawojowany przez wroga, a z okazyi pobytu nad Tybrem belgijskiej pary królewskiej, po raz pierwszy od pół wieku pojawiły się na ulicach Rzymu dworskie pojazdy watykańskie i to nie staroświeckie karoce, lecz zupełnie nowoczesne automobile, oraz gwardziści papiescy w pełnych mundurach. Pierwszy wyłom zatem już zrobiony, kto wie, czy nie doczekamy się chwili, w której Papież opuści mury swego dobrowolnego więzienia i pojawi się na ulicach Rzymu.

Po objęciu rządów przyjął Papież Pius XI. na osobnem posłuchaniu przedstawicieli arystokracyi rzymskiej oraz odbył przegląd gwardyi palatyńskiej, występującej podczas większych uroczystości, a złożonej z ochotników z pośród rzymskiego obywatelstwa.

W śnie magnetycznym.

Niedawno temu publiczność polska stanęła w zdumieniu wobec fenomenu w dziedzinie Sztuki. Poważny krytyk i znawca twórczości plastycznej, prof. Trojanowski, przedstawił Warszawie młodego malarza i teozofa Grużewskiego, który w stanie snu magnetycznego portretuje wybitne postacie z przeszłości. Wzbudziło to łatwo zrozumiałą sensacyę.

To też, jak sobie Czytelnicy przypominają, na owe seanse nie sposób było zdobyć biletu. Wystawa jego obrazów ściągała tłumy. Konferencye na ten temat stały się modne. Wszędzie dyskutowano z zaciekawieniem nad malarstwem w transie i nad medyumizmem w Sztuce. Okazało się bowiem, iż dziwny artysta stanowi jedynie medyum, przez które wypowiada się jakaś indywidualność potężniejsza. „Wcielił się we mnie na tę chwilę Michał Anioł — powiada Grużewski — i tak powstał portret Dantego." Co więcej — Grużewski nie tylko maluje w transie, ale i wygłasza improwizacye na publicznych seansach, znowu tylko jako medyum. „To duch Mickiewicza przemawiał przezemnie" — powiada po przebudzeniu.

Ale oto mamy nowy fenomen literacki: powieściopisarza, który w śnie magnetycznym tworzy całe książki; atoli już w znaczeniu dosłownem tworzy, sam będąc ich autorem, nie zaś — jak w tamtym n. p. wypadku — jeno pośrednikiem dla czyjegoś ducha. Jest nim poeta-mistyk Kazimierz Kalinowski.

Czytelnicy znają go dobrze. Ale w latach ostatnich zniknął nam z oczu. W r. 1914. wywieźli go bowiem Moskale z wiejskiego mieszkania na Podlasiu, jako jeńca cywilnego, aż nad Ural, skąd dopiero niedawno udało mu się uciec i powrócić do kraju. Jako jedną z pamiątek długiej niewoli wpośród stepów kirgizkich, gdzie blask słoneczny, dla oczu nieprzywykłych zbyt silny, trwa prawie, przez rok cały, przywiózł sobie Kalinowski chorobę wzroku. Okuliści kazali mu zaprzestać pracy oczyma. Dla literata to klęska. Postanawia za tem dyktować. Zdobywa sobie sekretarkę. Co pisać? Na pierwszy ogień wybiera wspomnienia z ziemi wygnania, zwłaszcza świeże wrażenia z własnych przeżyć pod grozą rozstrzelania przez czrezwyczajkę. Tyle tam widział, tyle ma do powiedzenia. Zasiadają więc do pracy.

Autor skupia myśli. Przeciera czoło końcami palców... I naraz traci świadomość. Przymyka oczy. Zapada w sen... Ale właśnie w tej chwili zaczyna dyktować. Sekretarka spisuje to pośpiesznie, chwilami z trudem mogąc nadążyć piórem. Cała w słuch zamieniona, musi niezwykle natężać uwagę, żeby jakie słowo, nieraz prawie szeptem wyrzeczone, nie przeszło mimo jej uszu, bo wszak spytać o nie nie może; autor nie powtórzy — nieprzytomny nie słyszy, nie widzi — śpi...

Tak w nastroju zaiste tajemniczym upływają całe godziny bez przerwy. Wreszcie poeta budzi się — i oryentuje. A więc to był sen magnetyczny. Zapadł weń bez niczyjej przyczyny. Dyktował jednak w tym stanie podświadomości wcale nie to, co zamierzał przed posiedzeniem, lecz tworzy jakiś nie uplanowany utwór beletrystyczny. Nazajutrz i dni następnych powstawały w ten sam sposób dalsze rozdziały powieści, o których treści autor z góry nie miał świadomie pojęcia. W ciągu kilkunastu seansów, trwających po dwie, trzy, a bywało i cztery godziny nieprzerwanie, powstała powieść. Na ostatnim autor podyktował słowo „koniec" a następnie tytuł książki. W kilka dni później zaczęła się podobnie nowa. I tak w ciągu jesieni r. 1921 stworzył Kalinowski w transie cztery powieści jedną po drugiej.

Treść każdej z nich — tak niezwykła jak sposób powstawania. Tematy różnorodne. Ale każda porusza w zaciekawiającej formie powieściowej zagadnienia okultystyczne, nad któremi nietylko myśl biedzą wieczyście teozofowie, a za nimi coraz dziś liczniejsi badacze i znawcy wiedzy tajemnej, ale które tak powszechnie w dobie najnowszej, pospołu z uczonymi, emocyonują też szerokie jeszcze koła społeczeństwa. A więc porozumiewanie się naszego świata z zaświatem, zagadkowe życie zagrobowe, lunatyzm, satanizm, hypnotyzm, jasnowidzenie, spirytyzm, medyumizm, telepatya, psychometrya i. t. d. i. t. d. — cały świat Ducha, a nadewszystko ciekawe tajniki reinkarnacyi, tego tragicznego kołowrota wcieleń ludzkich.

Domyśleć się łatwo, z jakiem zainteresowaniem rzucać się będą Czytelnicy na te sensacyjne, poważne w swej głębi książki, gdy się niebawem za-



Watykan za rządów nowego Papieża: Papież Pius XI. podczas przeglądu gwardyi palatyńskiej ustawionej w czworobok w ogrodach watykańskich.

RENE BURES.

Zil=X...

20. tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY

— Jeżeli milczy, to dlatego, że inaczej robić nie może. Jeżeli mówić nie może, to dla tej przyczyny, że sam jest mordercą, lub też też dlatego, że jest jakaś ważna przyczyna zmuszająca go do milczenia, a o której my nie wiemy.

— Ta przyczyna rzeczywiście bardzo ważną być musi — odezwałem się. — Bo przecież to jego uporczywe milczenie może stać się dla niego wyrokiem śmierci. Jerzy Dambleuse jest człowiekiem z charakterem, musimy to przyznać; ale musi wiedzieć, że żaden na świecie sąd przysięgłych nie wyda na niego wyroku uwalniającego, jeżeli istnieje fakt prawdziwy, niezbity, któremu on zresztą nie zaprzecza bynajmniej, fakt, że broń, która służyła do popełnienia zbrodni, jest jego własnością.

— Tak, tak — przyświadczył Iggins potrząsając głową. Jest jeszcze pozatem okoliczność straszna dla Jerzego Dambleuse. Znaleziono przy zwłokach kapitana de Limandoux jego rewolwer z trzema wystrzelonymi nabojami i tę samą ilość kul znaleziono w głowie kapitana. A więc, niezaprzeczenie, tym rewolwerem Limadoux został zabity.

— Czy pan o tem wątpi? — zapytał żywo Dalton.

— Wątpię o wszystkiem, zanim dostanę do rąk dowód niezbity. Była to jedna z hypotez, która mogła się przyczynić do wyobrażenia sobie Jerzego Dambleuse niewinnym, pomimo istniejących pozorów.

— Ale dlaczego mamy go sobie wyobrażać niewinnym?

— Bo tak należy się odnosić do wszystkich osób wmięszanych w podobne sprawy, na początku śledztwa.

— A teraz?

— A teraz? Doprawdy nie wiem. Szukam, badam.

— Ależ jakie były pana osobiste zapatrywania — zapytał Dalton.

— Zapatrywania są rzeczą niepotrzebną — odparł Iggins. Trzymajmy się faktów... Pozostają jeszcze dwa ślady, dwie nitki przewodnie.

— Jakie?

— Aktorka, Zaklina Dubois.

— Czy naprawdę?

— Bardzo to możliwe.

— A dalej?

— Pozostaje zegarek znaleziony przez was w domu kapitana de Limandoux.

— Ale pozostaje nam również dowiedzenie się co oznaczają te cyfry:

— X — Zil — M. S. — 27.002.

— Tak potwierdził Iggins.

Zapanowało milczenie.

Poczem Dalton wstał i podszedł do biblioteki. Widziałem jak wyciągnął grubą książkę i rękę zagłębił w próżnię. Po chwili umieścił książkę na dawnem miejscu i powrócił do nas.

Instynktownie podeszliśmy wszyscy do małego stolika na którym stała lampa.

— Oto przedmiot — odezwał się Dalton.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

— Dziwisz się, że wybrałem taką dziecinną kryjówkę — uśmiechnął się. Dla rutynowanego człowieka potrzeba dwudziestu minut czasu do otworzenia mojej kasy ogniotrwałej. Dwóch godzin zaś do przeszukania mieszkania. Dla tego też wybrałem tę kryjówkę. Złodziej straci dwadzieścia minut przy otwieraniu kasy, w której znajdzie tylko cygara. Czy nie dobra kombinacya.

— Doskonała — odpowiedział Iggins. Jednakże trzeba będzie umieścić ten przedmiot w naszej kasie centralnej. Ktoś może poświęcić więcej niż dwie godziny do przeszukania mieszkania i w końcu znaleźć to, czego szuka. To jest bardzo ważne.

— Naprawdę? — zdziwiłem się.

— Naprawdę. A przedewszystkiem najważniejszem jest to, żebyśmy tylko jedni wiedzieli o istnieniu tego przedmiotu. To nam da wielką przewagę nad policyą.

— Jakim sposobem.

— Eh! — machnął ręką Dalton. — Czy tylko te znaki naprawdę coś oznaczają.

— Oczywiście — rzekł z powagą Iggins. Przypatrzmy się im lepiej.

Usiedliśmy i przy świetle lampy oglądać zaczęliśmy zegarek.

Iggins otworzył kopertę, obracał zegarkiem na wszystkie strony. Od czasu do czasu kiwał głową. Nie było naprawdę nic szczególnego w tym zegarku. Nic zgoła. Zegarek wykwintny taki, jakich jest wiele, które noszono w epoce drugiego cesarstwa. Nazwisko wyryte na pudełku: Dupuy — Paris, nie oznajmiało nic zupełnie. Tak samo numer 142.227. numer pudełka.

Z tej strony nic, tylko ten rebus wyryty ręką nerwową:

— X — Zil — M. S. — 27.002.

— Teraz — rzekł Iggins zbadajmy dokładnie ten dokument. Później zajmiemy się zegarkiem samym.

— Ten dokument nic nam nie powie — odpart Dalton nerwowo.

— Owszem, powie — zaprzeczył Iggins.

— Co?

— Że rozum ludzki istnieje — rzucił flegmatycznie Iggins!

— Ah! westchnął z rozczarowaniem Dalton.

— Przedewszystkiem: jak czytać mamy to — X — Zil — M. S. — 27.002.

— Jak czytać?

— Tak. Co one oznaczać mogą. Czy może czytać tak:

„X — Zil i — X M. S. i — X 27.002.

Albo też:

„X — Zil lub X — M. S. Lub też jeszcze X — 27.002?

— Nie pomyślałem o tem.

— A to ważne! bardzo ważne — mruknął Iggins zamyślony.

— Zapewne. W pierwszym przypadku, właściciel zegarka wykazuje wolę, przypomnienie sobie, że ktoś, którego podejrzywa jest tym samym, którego nazywa Zilem, M. S. i 27.002. Że jeden i ten sam człowiek odpowiada tym trzem wskazówkom.

Tak.

— W drugim, wyłania się podejrzenie w umyśle właściciela czy X jest Zilem, lub też czy jest M. S. albo 27.002.

— Tak! — rzekł Iggins.

— A kiedy ktoś zajmuje się do tego stopnia kimś, wskazanym cyfrą — X, że wyrzyna swoje podejrzenia algebrycznym stylem, w pudełku swojego zegarka — i ten ktoś zostaje zamordowanym przez człowieka nieznajomego — przypuszczenie, że ten X jest mordercą staje się bardzo prawdopodobnem.

— Przepraszam — wtrąciłem — nie mamy na to dowodu czy ten zegarek rzeczywiście był własnością kapitana de Limandoux.

Przeciwnie — odpowiedział Iggins. — Otoznaczki przyklejone na pudełku — znaczki stemplowane. Zegarek został więc wysłany w Rainey. To ułatwia poszukiwania. W Paryżu trzebaby na to poświęcić ośm dni. A tutaj, już wczoraj mogłem się dowiedzieć o co mi chodziło.

— I co się pan dowiedział.

— Że zegarmistrz Ponti otrzymał ten zegarek będzie temu dni jedenaście. Kapitan sam go wręczył i prosił o wysłanie pocztą. Zegarmistrz nic nie zauważył naprawiając zegarek.

— Dlaczego mu go zostawiono?

— Dla naprawy.

— Szczególna myśl. Taki stary, kobiecy zegarek. W jakim celu on to zrobił?

— W jakim? Zupełnie zrozumiałym — odpowiedział Iggins. — Chciał go prawdopodobnie dać swojej narzeczonej. Zegarek ten musi być pamiątką rodzinną i w przodkach jego znajdziemy napewno kogoś, którego imię zaczynało się od litery D. i N... wyrytej na kopercie.

— Tak — zbadamy to — odzwał się Dalton.

— Rozpatrzmy teraz wartość tego rebusu, zapisanego przez kapitana de Limandoux w pudełku zegarka, pochodzącego od jego babki. Kapitan musiał to zapisać pod pierwszem wrażeniem lękając się, że później pamięć mu nie dopisze.

„X — Zil — M. S. — 27.002.

— Czy posiadamy jakie wskazówki, co do tego Zila? — zapytałem.

— Żadnej — odpowiedział Dalton.

— Tak, żadnej — potwierdził Iggins.

— Dobrze. A co do liter M. S.?

— Także żadnej.

— A co do numeru 27.002?

— Żadnej.

— Nie, zupełnie nie — wyrzekł trochę niecierpliwie Iggins. Rozbierałem najniemożliwsze hypotezy. To może być numer banknotu bankowego, abonamentu, losu... Czy ja wiem? Od dwóch dni czynię w tym kierunku poszukiwania. Sprawdziłem to, co było możliwem do sprawdzenia i ajenci moi nie odkryli nic zgoła.

— A M. S...

— Z tem było to samo. To litery prawdziwe lub fałszywe, które nic nie oznaczają.

— A Zil?...

— Zil, to co innego. To imię jakiegoś człowieka. Lub też przybrane imię jakieś. My nie możemy wiedzieć na razie, co oznacza Zil... Ale musimy mieć na tyle sprytu, żeby znaczenie to zrozumieć. Trzeba czekać. Trzeba nabrać potrzebnej cierpliwości i działać. Widzicie moi kochani, według mojego przekonania to rodzaj zasadzki... od nas zależy zbadać, jaka zwierzyna w tej zasadzce się ukrywać będzie. Tę samą sytuacyę mamy w stosunku do tej małej dziewczynki. Tamci, ci z policyi, nie domyślają się wcale, że jest tu coś do wypatrzenia, do przeczekania. Dla nich to nie jest zasadzka. My jedni o tem wiemy i dlatego w tej sprawie wygrać możemy.

— A więc należy nam tylko czekać? — zapytał Dalton.

— Tak — potwierdził Iggnis. — Czekać i tylko czekać z cierpliwością nieograniczoną. Jest to rzeczą niemożebną, aby ten Zil nie okazał się kiedyś, nie zdradził swojej obecności jakąś nieostrożnością. Będziemy czekać, będziemy czuwać.

— A dziewczynka?

— Sprawa ta także kiedyś musi się wyjaśnić. Jej zniknięcie zainteresuje przecież kogoś i ten ktoś zgłosi się do policyi, lub też w dziennikach będzie robić poszukiwania.

— Ale tymczasem? — rzuciłem zniechęcony trochę spokojem Igginsa, dla którego miara czasu nie istniała wcale.

— Tymczasem — odpowiedział Dalton... — Możemy czynić dalsze doświadczenia i dalsze poszukiwania.

— Tak, tak — przytaknął Iggins, strząsając flegmatycznie popiół z fajki... — Jednakże ten pan Jerzy Dambleuse znajduje się w nie bardzo wesołem położeniu. Może stracić głowę, zanim prawda na wierzch wypłynie. Policya obciąży go dowodami i zasądzonym zostanie. Pozostaje mu tylko maleńka nadzieja ocalenia, a ta leży w rękach tej panny.

— Zakliny Dubois?

— Tak.

— Ale dlaczegóż więc nie czyniliśmy gorliwszych badań w tej stronie?

Iggins uśmiechnął się lekko.

— Palnęlibyśmy głupstwo nie do darowania — odezwał się Dalton. — Ta mała Zaklina Dubois, mój kochany, była wprost oszalała wiadomością aresztowania Jerzego Dambleuse, swojego dawnego kochanka. Podejrzywam, że musieli się widywać z sobą w ostatnich nawet czasach. Dziewczyny tego rodzaju lękają się bardzo spraw z policyą. Zrozumiała, że i ona może zostać skompromitowaną. Pragnęła więc tylko — spokoju. W tych warunkach badanie jej nie dałoby żadnego rezultatu. Nie byłaby nic powie działa.

— Jest jeszcze co innego — dorzucił Iggins. — Panna Dubois zerwała z Jerzym Dambleuse trzy miesiące temu. W tym czasie właśnie zażądała od niego listów i fotografii, znalezionych w biurku senatora Poivier. Otóż nie wiem jeszcze dotąd, dlaczego Jerzy Dambleuse tak nagle zerwał z dawną kochanką.

— Bo zakochał się w pannie de Beaumont.

— Być może. Wiem, że panna Dubois jest teraz kochanką pana de Rivero Boldavo. Zdecydowała się na to dosyć prędko po zerwaniu z Jerzym Dambleuse. Ten Rivero-Boldavo, to jakiś cudzoziemiec podejrzanego pochodzenia.

— A więc?

— A więc, Zaklina Dubois lęka się, aby jej życie obecne, tak ściśle złączone z tym panem, było rozpatrywane przez policyę, która w tych razach działa dosyć niedyskretnie. Byłaby nas więc źle przyjęła, co jest w końcu rzeczą małej wagi, ale byłaby nas napewno w błąd wprowadziła, okłamała, co byłoby dla nas już gorszem.

— Tak, ona by nam nic nie powiedziała — przyznał po chwili milczenia Dalton. Ale teraz to rzecz inna. Jerzy Dambleuse w oczach opinii publicznej jest winnym — a o Zaklinie Dubois dotąd mówiono bardzo mało. Czuje się więc spokojniejszą i bezpieczną. Może być więc, że teraz zechce coś powiedzieć.

— Ale co ona wiedzieć może?

(Dalszy ciąg nastąpi)

LEON GOZLAN.

Historya o stu trzydziestu kobietach

12)

Trudno jednak, żeby tak krwawy bój długo jeszcze potrwał. Obydwaj przeciwnicy, widząc że trzeba kończyć wszelkim kosztem, przechylają się w tył, i podnosząc swoje bronie, zamierzają sobie zadać raz stanowczy, ostatni. Muszkuły ich natężają się jak liny, obydwą topory spadają razem, spotykają się w powietrzu z strasznym łoskotem, i pękają jak szklanne; rozpryskując się na kawałki.

— Dosyć już, dosyć, wołały pomięszane głosy majtków i deportowanych, obecnych tej strasznej walce, dosyć! dosyć! dosyć!

Prozerpina nawet, która życzy koniecznie śmierci mulatowi, lękając się by w przypadku, gdyby on został zwycięzcą, nie dostała się w jego posiadanie, woła wraz z innemi „dosyć! dosyć! dosyć tego!" Rzuca się na szyję Ascottowi, obejmuje, ściska, okrywa go pocałunkami; zdejmuje z siebie szal, łup, który zdarła z pani Forster i obwija nim poranioną głowę kochanka. Chce i żąda koniecznie, żeby ta straszliwa walka skończyła się! „Przestańcie już tego".

— Nie przestaniemy, zawołał Ascott, on albo ja muszę zginąć.

— Tak, on albo ja — zakrzyczał ze swojej strony mulat.

I z tem samem zgodnem poruszeniem, które pchnęło ich obydwóch do porwania razem za topory, obydwaj porywają za muszkiety leżące przy nich. Przez kilka chwil szukają pomiędzy tłumem sposobnego miejsca do swobodnego celowania do siebie, rozpychają ten tłum kolbami swoich muszkietów, ale napróżno, wszędzie pełno, tłok ich ściska, tamuje wszelkie poruszenia. Widząc niepodobieństwo odbycia tej ostatniej walki na pomoście, rzucają się obaj, jeden na maszt wielki, drugi na przedni, drapiąc się jak koty na wierzchołki tych masztów.

I już są tam wysoko, w tej sferze wiatru, który rozrzuca ich włosy i spencery cdyma i stoją na drągach wielkich żagłów jeden naprzeciwko drugiego; oddechają tam chwilę i znowu zaczynają się drapać na sam wierzchołek, jedną ręką trzymając się masztu, drugą muszkiet, narzędzie śmierci, unosząc z sobą. Nareszcie są tam już na samym wierzchołku, uginającym się pod nimi. Ja, chociaż stary wyjadacz morski, dziś trzęsę się jeszcze ze strachu, kiedy wam to rozpowiadam; na tym wierzchołku stoją już obydwaj, mając tylko za całą podporę ostrze żelazne, kończące maszt, na którem chorągiewka zawieszona. Tam razem z masztem, którym burza pomiata, uginają się i podnoszą znowu, żeby się ugiąć na nowo. Nic nie może się przyrównać do tych dwóch ludzi zawieszonych w powietrzu nad morzem, wyjąwszy na sto stóp pod nimi; nic nie może się przyrównać do tych dwóch istot żyjących, które zdjęte nienawiścią poszły przeklinać się i zabijać w miejscach, gdzie tylko duch Boży tchnieniem swem podbudza huragany, te straszliwe gniewy natury. Nic nie może się przyrównać do tych dwóch nieprzyjaciół, którzy znajdują, że ocean za mały dla nich do odbycia walk i w nieskończoności obszerniejszej przestrzeni szukają.

W tem pochylonem położeniu, celują obydwaj do siebie, czekając jednej chwili wolnej od wstrząśnień, która im lepiej wyst zał wymierzyć dozwoli, bo wiedzą dobrze o tem, że czy zabity, czy raniony tylko, ten z nich, który upadnie, pewno już nie powstanie więcej.

— Nie, nie możemy na to pozwolić, zawołała Prozerpina, która była jedyną przyczyną tej strasznej rywalizacyi, nie, nie możemy na to pozwolić, żeby oni się tak mordowali... wszakże to oni nas uwolnili z więzów... wszakże to oni ocalili nas z niewoli i wygnania... to są nasi wodzowie... czy słyszycie, to wodzowie nasi... musimy ich ocalić... ocalimy ich... nie dozwólmy im ginąć..

Prozerpina, która dlatego tylko to mówiła, iż widziała dobrze teraz, że mulat jest przeciwnikiem niebezpiecznym, niezwyciężonym prawie, próbowała sama wyjść na maszt, na którego wierzchołku siedział Ascott, a przykład jej naśladowały inne deportowane przyzwyczajone być jej posłusznemi, jak gdyby swojej królowej, ale ich ręce delikatne, zleniwiałe nierządnem życiem, ale ich nogi nieprzyzwyczajone napotykać szorstką powierzchnię nieociosanego drzewa, odmówiły im swojego współdziałania. Zawisły one u lin, nie śmiejąc ani iść w górę ani spuścić się na dół. Podobne były w tej chwili do nereid i do syren, któreby przyszły brać szturmem okręt.

Słychać z tej wysokości niesłychanej, z której każdy odgłos słabieje, przerzynając tak wielką przestrzeń powietrza, dwa wystrzały muszkietowe razem się odzywające; wszystkie głowy podnoszą się w górę, wszystkie wejrzenia zwracają się na dwóch przeciwników. Ascott zachwiał się... przechyla się... zdaje się, że upadnie... ale nie, to Samuel upada z całej wysokości wielkiego masztu... Ascott zachwiał się tylko z powodu zbyt silnego naboju, którym muszkiet jego był naładowany. Samuel upada głową naprzód, prosto, z rękami jakby przylepionemi do ciała, z nogami złączonemi z sobą, z szybkością strzały... jak szatan, kiedy go ręka Boska w otchłań rzuciła piekielną. Nawet krzyku nieusłyszano, tylko piana morska zaczerwieniła się w jednem miejscu. Samuela już nie było..

Zszedłszy spokojnie na pomost, Ascott rzucił się w objęcia Prozerpiny, która rzekła do niego: „Dzielnyś mój kochanku, czy chcesz, żebym dla ochłodzenia cię, natoczyła ci krwi mojej w kieliszek?"

A porucznik Thompson zanotował na swoim raporcie wypadki dnia całego, chociaż dzień nie był jeszcze ukończony. Ale porucznik Thompson nie chciał się spóźnić z raportem.

„Samuel został zastrzelony, jak gołąbek na wierzchu wielkiego masztu. — Prowadzenie się deportowanych jak najgorsze, te kobiety nie mają żadnej obyczajności — Zaczynają już na nowo. Nie wiedzieć, jak to wszystko się skończy".

— Ależ majstrze Gandolf — przerwał znowu junga — co się dzieje z deportowanemi, kiedy już przybędą do tego kraju, który, nie wiem dlaczego, nazywacie Australią.

— Używają je do różnych robót mniej więcej ciężkich, stosownie do liczby lat na trwanie ich deportacyi oznaczonej, co zależy znowu jak zapewne sam, musisz się domyślać, od winy, skutkiem której dekret na nie zapadł.

— Ależ to musi być dziwny kraj, majstrze Gandolf, gdy go zamieszkują same tylko złodziejki, zabójczynie, podpalacze i oszuści.

— To jest jeden z najpiękniejszych krajów na kuli ziemskiej.

— Nie może być majstrze Gandolf.

— A tymczasem tak jest istotnie mój chłopcze. Sydney, Norfolk, Hobart Town, są to miasta tak pięknie urządzone, jak najpiękniejsze cyrkuły Londynu, Paryża, albo Wiednia. Hobart Town w szczególności zabudowane jest jak cacko, a jego mieszkańcy słyną z poczciwości i zaszczytnego prowadzenia się. Zaledwie zdarzy się tam na rok w tem mieście deportowanych dwa przypadki morderstwa.

— Jakimże sposobem majstrze Gandolf wszyscy ci zbrodniarze przerabiają się tam na poczciwych ludzi, dzieciobójczynie na przykładne matki familij?

— Różnymi to dzieje się sposobami, a najskuteczniej cierpliwością; przekonywa się tam ich wszystkich, że jeżeli ich żal i pokuta szczere będą, to zbrodnie ich puszczone będą zupełnie w niepamięć; a poważanie w świecie jest konieczną potrzebą życia moralnego, tak jak oddychanie świeżem powietrzem fizycznego życia; ten sposób postępowania względem nich musi koniecznie oddziałać na dobre, chyba to są idyoty albo potwory, a jeszcze i tacy poprawiają się tam czasami.

— Ale kiedy komu już wyszedł czas deportacyi, to wszakże musi mu być wolno powrócić do Anglii?

— Nikt mu tego nie zabroni. Ale ci, którzy już się do tego pięknego kraju przyzwyczaili, za nic w świecie nie będą go już chcieli opuścić.

— Czy ty już raz u licha skończysz wszystkie twoje zapytania, Jungo! - zawołał jakiś majtek, którego ta lekcya etnografii strasznie niecierpliwiła. — Powiedz że nam majstrze Gandolf, co się tam stało dalej po śmierci Samuela.

— Czyż mam dalej mówić?

— A juścić, dlaczegóżbyś miał przestać dalej opowiadać; już przecie spodziewam się, nic nie masz okropniejszego do opowiadania jak to, co słyszeliśmy: poucinali sobie języki, pozjadali uszy, strzelali do siebie z masztów...

— A, jeszcze wam nie rozpowiadałem o ich uczcie.

— Więc była uczta po zwycięstwie Ascotta?

— Jakto, czy była? i jeszcze jaka.

Majster Gandolf otarł czoło z potu, jak gdyby te straszne wspomnienia, które wywoływał sobie, urzeczywistniały się na nowo w jego wyobraźni.

— Nie — mówił dalej — niepodobieństwem jest wystawić sobie, ile ci majtkowie i te kobiety pożarli potraw i win, zdawało się, że półmiski nawet połkną.

Oto jest, o ile pamiętam, skład owego obiadu i porządek, w jakim półmiski były oczyszczane, tylko to jedno wyrażenie tłomaczyć może obżarstwo biesiadników:

— Dwie wanny kremu czekoladowego. — Cały wół pieczony. — Po trzy kubki wódki dla każdego. — Plumpudding wielki jak tył naszego okrętu. Jajka na occie. — Ryby z sosem i cebulą — konfitury z jagód — zwierzyna — po trzy kubki rumu dla każdego — jajka na mleku z wanilią — szynki i wędzonki różne — konserwy z wiśni — raki morskie — kawa ze śmietanką — makaron włoski — trzy kubki araku dla każdego — pasztet z kawioru, pasztet z zająca — znowu wędzonki — bawarki — wino szampańskie...

— Stój majstrze Gandolf, stój, bo nam się aż w głowie kręci.

— I mnie się dyabelnie kręciło w głowie, kiedym to widział, a jednak jeszcze nie wyliczyłem wszystkiego.

— Potrawa honorowa, potrawa honorowana na cześć Ascotta, który odniósł zwycięstwo nad mulatem! — wołała Prozerpina.

I wszyscy zakrzyczeli, mężczyźni i kobiety:

— Tak, potrawa honorowa, potrawa honorowa na cześć Ascotta, ale jakaż to będzie ta potrawa honorowa?

— W tem cała trudność.

— Czy wy wiecie jaka?

— Nie! nie, nie!

— To kuchmistrz musi wiedzieć, niech powie.

— Tak, kuchmistrz! kuchmistrz! oto jest kuchmistrz!

— Kuchmistrzu — rzekli do niego — czy będziesz umiał wymyślić jaką potrawę honorową, niezwyczajną, któraby się nie zgadzała ze zwykłemi zasadami gastronomicznemi, potrawę, jakiej nikt nigdy nie widział, jakiej nikt nie będzie widział nigdy. Odpowiedz?

— Cóż chcecie, żebym wam odpowiedział — wyrzekł trzęsąc się cały ze strachu majster Christmas — ja nie znam takiej potrawy, ona nie istnieje wcale.

— To wymyśl jaką, albo już po tobie.

— No to będę próbował, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Że nie będziecie mnie przymuszali jeść tę potrawę.

Zaczęli radzić pomiędzy sobą i nareszcie zgodzili się na ten warunek.

Kuchmistrz więc kazawszy sobie przynieść ten ogromny kocioł miedziany, w którym się przygotowywał poncz podczas walki Samuela z Ascottem, wlał weń co tylko miał śmietanki, do tego pieczeń wołową, wódkę, ciasto migdałowe, plumpudding, jajka z octem, ryby, zwierzynę, rum, wędzonki, wiśnie, raki morskie, kawę ze śmietanką, makaron włoski, arak, kawior, zająca, szykę, konfitury i wino szampańskie — i zmięszawszy to wszystko razem tak, że to tworzyło ogromną masę, w której niepodobieństwem było dojść pierwotnego składu potraw, zawołał:

— Pozwólcie sobie panowie, to się je na zimno.

Najodważniejsi spojrzeli się po sobie, zanim ośmielili się skosztować tej nieopisanej potrawy. Ale Prozerpina wzięła ogromną łyżkę wazową i swoją prześliczną ręką zaczęła każdemu na równe porcye rozdzielać.

— Majstrze Gandolf — przerwał Junga.

— Cóż znowu! — zawołali majtkowie — po co ty ciągle przerywasz majstrowi Gandolf.

— Pozwólcie mówić temu chłopcu, moi przyjaciele, no, czegóż chcesz się dowiedzieć?

— Czy należałeś do tej uczty?

— Naturalnie.

— Kosztowałeś tej potrawy honorowej?

— A jakże.

— I jakże ci smakowało?

— Majster Gandolf oblizał się, zanim odpowiedział.

— Żebym miał powiedzieć, że mi to nie smakowało, tobym skłamał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

— Nie! Coś podobnego!... Umrę ze śmiechu!... — chichotała przeciągle nowozaangażowana chórzystka, śliczna brunetka o smagłej cerze i ognistych, palących oczach... Mówiono o niej, że to jest nowa „llama“ reżysera...

— Hołota!... — rzuciła przez zaciśnięte zęby Stefa i nie oglądając się na nikogo, pobiegła do garderoby. Pogoniły za nią słowa urągliwe:

— Patrzcie, od hołoty wymyśla!... Taka artystka!...

— Widać z wielkiego powodzenia w głowie się jej zakręciło!...

— Nie widziałyście... Kwiatami ją obsypali?...

— Czekajcie, kwiaty będą w drugim akcie... perfumiarza stać na to!...

— Naturalnie!... Wieniec z szarfą i napis „wielkiej artystce“ *Sytujajca!*... ha! ha! — najgłośniej kpinkowały te, którym najłatwiej mógł się zdarzyć analogiczny lub nawet gorszy *lapsus*. Mściły się z całem wyrafinowaniem, ponieważ Łączkówna swojem aroganckiem zachowaniem wzbudziła specyalną ku sobie niechęć.

Zaledwie Stefa weszła do garderoby — wpadł za nią reżyser, wściekły, rozczerwieniony.

— Ładnieś nas, pani, urządziła!... jak teatr teatrem, nie było takiego skandalu!...

— To sufler... kapelmistrz... — próbowała się tłomaczyć zmięszana — W drugim akcie pójdzie lepiej!...

— I ty sobie wyobrażasz, że ja taką krowientę jeszcze raz na scenę puszczę!! Ogłosi się, że z powodu nagłej niedyspozycyi panny Łączkówny zastąpi panna Barwikowska i koniec!

Stefka zbladła:

— Pan tego nie zrobi!...

— Rozumie się, że zrobię!... Już nawet zrobiłem!...

— Co? co?... to... to... jest bezczelność!...

Reżyser tak się w pierwszej chwili zdumiał arogancyą „krowienty“, że zaniemówił formalnie. Z tem większą pasyą wybuchnął jednak znowu. Wogóle cała ta sprawa irytowała go podwójnie. On to przecież protegował Stefkę i przeforsował jej debiut w solowej partyi wbrew woli dyrektora, który utrzymywał zawsze, że Łączkówna jest dobra tylko do ról... za kulisami... Na niego więc spadnie teraz poważna część kompromitacyi, burza wymówek ze strony dyrektora i niewątpliwe przedrwiwania rywala — reżysera. O! poprostu opętała go ta dziewczyna swemi zielonemi fosforyzującemi ślepiami dzikiej kotki — ale czar ten był krótki!... Dawno go już zraziło impertynenckie zachowanie Stefy, jej chytra głupota i histeryczne kaprysy, a ten ostatni występ dobił ją zupełnie w jego opinii... Głupia, arogancka, ordynarna, bez krzty talentu, a w dodatku ta świeżo zaangażowana, smagła jak cyganka, Józia — jest od niej o wiele, o wiele ładniejsza... I jeszcze teraz po takiej „klapie“ — ona ośmiela się...

— Co? do kogo ty mówisz?!...

— Przedewszystkiem wypraszam sobie mówienia mi ty!! Zrozumiano?! — wrzasnęła Stefa, która w gniewie traciła wszelką miarę.

— Nie! to przechodzi wszelkie granice!... Wynosić mi się w tej chwili!... I nie pokazywać więcej w teatrze!...

— Owa! taki teatr! dużo sobie z niego robię!... Buda, że możnaby cyrk dla pcheł w niej urządzić!... W sam raz dla takiego reżysera!...

Tamtemu oczy wychodziły na wierzch z gniewu. Rozszalały z wściekłości zbliżył się do Stefy z zaciśniętą pięścią, jakby ją chciał uderzyć...

— No! no! tylko zdaleka...

Przybrała tak groźną postawę, że się natychmiast cofnął.

— Franciszku! — krzyknął do woźnego — nie wpuszczać mi tej panny więcej za kulisy!...

— Słucham proszę pana!...

— Ja bym tu za żadne skarby świata więcej nie przyszła w takie towarzystwo!... Ja jestem na to zbyt inteligentna!... Mój ojciec był urzędnikiem w uniwersytecie!...

— To leźże do tatusia do uniwersytetu!... Może cię tam będą w spirytusie pokazywać!... — rzuciła za nią jedna z nasłuchujących pod drzwiami chórzystek.

Ubrała się szybko, zgarnęła trochę swoich drobiazgów w niedużą paczkę i wybiegła, nie odpowiadając już na żadne zaczepki. Kiedy ją owiał łagodny chłód wiosennego wieczoru, odetchnęła głęboko, oprzytomniała nieco i zastanowiła się, co teraz właściwie robić!...

Wszak Bąbel jest na widowni, był świadkiem jej kompromitacyi, ale co tam on... Trzeba go teraz wywołać i opowiedzieć mu całą historyę, tak jak się ona „naprawdę“ przedstawia — jak to sprzysięgli się na nią wszyscy, szofer, kapelmistrz, koledzy, a przedewszystkiem reżyser, który na nią „leciał“, a ona odrzuciła jego umizgi... Mózg jej pracował z telegraficzną szybkością, wysnuwając pasma kłamliwych opowieści, w które zwyczajem kobiet o histerycznem usposobieniu sama wierzyć zaczynała...

Obejrzała się wokół i zobaczyła dwunastoletniego chłopca, który trzymając ręce w kieszeniach, pogwizdywał uliczną piosenkę.

— Mały! chcesz zarobić?

— A dlaczego nie?...

— No to skoczże do teatru z tą kartką, zapytaj o pana Bąbla i oddaj mu ją!...

— Dobrze!...

Stefa przy świetle latarni nakreśliła ołówkiem na bilecie kilka słów. Chłopak pobiegł z kartką. Po upływie kilku minut powrócił.

— Proszę pani! tego pana niema w teatrze!...

— To niemożliwe!... Był napewno!...

— A był, ale wyszedł!... Bileter mi powiedział!...

— Wyszedł?!

Stefa uczuła się zdziwioną srodze i to nieprzyjemnie. Dlaczego on wyszedł tak szybko, nawet jej nie zawiadomiwszy... To coś niebywałego... Czyżby z powodu tej „klapy“... A to byłaby ładna historya!... Dokąd on mógł pójść?... Chyba do domu... Trzeba tam zajrzeć... A może do restauracyi na kolacyę?... Ale jakże tak bezemnie... Głęboko zamyślona, zaczęła iść...

— Szanowna osobo!... a kto zapłaci?!... — przypomniał jej mały, przygodny listonosz.

— Masz!... — rzuciła mu drobny banknot.

Chłopiec skrzywił się po andrusowsku.

— O! jej... tyle... to ci warto było „lakiery“ zdzierać!... No, może drugim razem więcej zarobię, jak „gawe“ odbierze list!... *Caję* rączki pani radczyni!...

— Wynoś się!...

Śpiesznie idąc, zanurzyła się w wonną zieleń plantacyi, gdzie już zaczynały rozkwitać bzy, przesycając powietrze słodkim, upojnym zapachem. Wszystkie ławki były zajęte przez gruchające pary... Po dwoje... po dwoje... Tuż przed Stefą sunie jakiś wysoki mężczyzna z przyczepioną do jego ramienia małą kobietką w fantazyjnym kapelusiku z odwiniętem rondem na jasnych włosach..

Mężczyzna pochylał się ku swej, o wiele niższej towarzyszce...

— No, dobrze? — pyta szeptem natrętnym, błagalnym...

— Ja... ja nie wiem...

— Jakto, nie wiem?.. No, powiedz, że się zgadzasz!...

— Oj! ty łobuzie!...

— Ty dzieciaku mój!...

Słychać pieszczotliwy brzęk mandolin... To kilku studentów idzie aleją, grając popularną serenadę... Stefie robi się jakoś „mdło“ około serca... I ją zaczyna ogarniać niebezpieczny, romantyczny czar tej nocy majowej. Schodzi na nią jakaś tęsknota... marzenie... z początku nieokreślone, które z każdą chwilą poczyna przybierać realniejsze kształty... Gdyby tak przytulić swoją skroń do tamtej pięknej głowy, wypijać pocałunkami te cudne fiołkowe oczy, stracić przytomność w silnych a brzemiennych słodką pieszczotą ramionach...

— Rom... Rom... — szepczą przez tyle całowane wargi imię jednego mężczyzny, który umiał na nich pozostawić niezatartą pieczęć rozkoszy...

— Rom... Romek...

Nagle — cóż to?... Kto to wyłania się z pośród drzew na zakręcie?... Kto to stąpa tak śmiało, pewnie, elastycznie?... Nikt tak nie umie chodzić - tylko „piękny Romek“ Królecki... On... napewno on... Ale nie sam... przy jego boku drepce jakaś figurka kobieca... Rozmawiają żywo ze sobą... Kiedy się zbliżyła, poznała, iż to rzeczywiście Królecki, a z nim Bronka Kuźmiczówna... Śmiech pusty porywa Stefę, ale jednocześnie czuje jadowite ukąszenie zazdrości... Ta niezadna, niepokaźna Bronka — takie chuchro, takie „nic“ i Romek!... Przypomina sobie, iż tłusta Mania opowiadała jej, że pomiędzy Bronką a Króleckim coś jest... Stefa wierzyć temu wówczas nie chciała...

Mijają ją właśnie, nie zauważywszy...

— Dobry wieczór...

Roman uchyla kapelusza, Bronka skinęła głową. Chcą iść dalej, ale Stefa zastępuje im drogę... Błyskają jej białe zęby... świecą zielone oczy... drgają nozdrza...

— Tak we dwójkę!... na spacerek?... jak zakochana para!... ha! ha! ha!

— Pani sobie życzy?... — zapytuje chłodno Roman.

— To Stefa Łączkówna — mówi Bronka.

— Oczywiście, że ja!... Chyba mnie pan Roman poznaje?...

— Przepraszam panią, ale nam spieszno?...

— Dokądże tak?

— Jeśli pani taka ciekawa, — głos Romana nabrał już tonów wyraźnie szorstkich — to odprowadzam narzeczoną do domu...

— Narzeczoną?!... Patrzcie państwo! paradne!... a to gratuluję!... ha! ha! ha!... — Stefa śmieje się jeszcze, ale śmiechem przymuszonym, zdławionym...

Roman ściągnął groźnie brwi:

— Co znaczy ten niedorzeczny śmiech?!...

— Ha! ha! ha! narzeczeni!...

— Proszę pani, bo...

Bronka dotknęła delikatnie jego ramienia.

— Daj spokój, Romku, chodźmy!...

Gdy przeszli dalej, pozostawiając śmiejącą się wciąż Stefę, Broka rzekła przyciszonym głosem:

— Może to i naprawdę śmieszne — to moje szczęście bezmierne... Może ona ma racyę... żebyś ty taki piękny, uwielbiany z pośród tylu kobiet, wybrał sobie takie nic jak ja...

Roman przycisnął mocniej jej szczupłe ramię do swego ramienia:

— Nie mów tak, bo mi robisz przykrość!... Tyś mi dopiero dała poznać prawdziwą miłość kobiety!... Tak jak ty mnie kochasz, żadna by mnie kochać nie umiała!...

Stefa pędziła tymczasem do domu, gnana chęcią jak najszybszego wywarcia szalejącego w niej gniewu na Bąblu!... Już się przygotowywała, jak to obrzuci go wymówkami najjadowitszemi, on jej zapłaci i za to, co ją spotkało w teatrze i za Romana!... Gdyby Chaniewski był jej protektorem, inneby miała znaczenie, ale z takim wzbogaconym parobkiem nikt się nie liczy pomimo jego pieniędzy!... Kogo on ma za sobą!... Takiego marnego pijaczynę Olczaka?!.. Głupiec, chamidło, sknera!...

Ze zdziwieniem zobaczyła, że w oknach mieszkania jest ciemno... Cóż on po ciemku siedzi? Może elektryczności oszczędza?!...

— Antek! — zawołała, otwierając drzwi.

Cisza —

— Antek! spisz, czy co?!..

Żadnej odpowiedzi. Chyba go niema...

— Marcysiu!...

We drzwiach ukazała się służąca w negliżu, przecierając zaspane oczy.

— Jest pan?

— Niema.

— Ale był?

— Był i poszedł, bo przyleciał po niego jakiś starszy mężczyzna.

— Co za starszy mężczyzna?

— Albo ja wiem!... Taki sobie „prościejszy“. Coś tam mówili ze sobą i pan zaraz zabrał się i wyszedł z nim... Widziałam, że pojechali dorożką...

— Hm... dobrze... możesz iść spać!...

Stefa nie zasnęła wcale tej nocy. Rozpamiętując wszystkie przykrości wczorajszego wieczoru, podarła trzy batystowe chusteczki, zszarpała zębami powłoczkę z cieniutkiej weby i wylała potoki łez... Czekała na Bąbla, zrywając się za każdym szelestem, ale nie zjawił się...

Majowy poranek zastał Stefę z zapuchłemi oczyma, z zaczerwienionym nosem — trzęsącą się ze zdenerwowania i z irytacyi.

W łóżku zjadła śniadanie, wstała dopiero koło południa i kazała służącej czekać z obiadem na Bąbla... Wybiła godzina pierwsza, potem druga, pół do trzeciej, a Bąbel jeszcze się nie pokazał... Zdenerwowanie Stefy potęgowało się...

Dopiero po trzeciej godzinie dał się słyszeć zgrzyt klucza w zamku... Bąbel wszedł blady i widocznie wzruszony.

Stefa skoczyła ku niemu:

— Co się z tobą działo?! Gdzieś ty bywał?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Ósmy raz od chwili wybuchu wojny światowej przychodzi kronikarzowi stanąć przed P. T. Czytelnikami z życzeniami „Wesołego Alleluja“.

Rok temu, zabierając się do spełnienia swego obowiązku, oświadczył, że jest w kłopocie, czego ma życzyć, poprzednie bowiem życzenia przeważnie się nie spełniły, pocieszał się jednak nadzieją, iż skończy się siedm lat wojennych, t. j. chudych, kolej zatem przychodzi na tłuste. Ale pokazało się w dalszym ciągu, że i tym razem się zawiódł, ósmy rok należy bowiem również do chudych, oczywiście nie dla wszystkich, gdyż jest między nami bardzo wielu takich, którzy chwalą sobie lata wojenne i twierdzą zupełnie słusznie, że dopiero one postawiły ich na nogi. To są jednak wyjątki, Ogół bynajmniej nie cieszy się z dotychczasowych zmian, spowodowanych wojną, i w żaden sposób nie może się dopatrzeć jej dobroczynnych następstw, które miały uszczęśliwić ludzkość. A byłby już najwyższy czas, aby pozwolono nam odetchnąć swobodniej, bodajby tylko tak, jak to było przed wojną.

W roku 1919 amerykański dyktator żywnościowy Hoover, zwiedziwszy Europę, zapowiadał, że rok 1920 będzie jeszcze ciężki, że nie można się spodziewać, aby i rok 1921 wybitnie się poprawił, o 1922 nic jednakowoż nie wspominał, wszyscy zatem byli święcie przekonani, że bieda nasza weźmie w łeb i zaczniemy życie powojenne, wśród ogólnego pokoju i dobrobytu. Pokazało się, że nadzieje te były bardzo złudne, rok bowiem po roku, zamiast, aby się sytuacya poprawiała, staje się ona coraz bardziej opłakaną.

W takich warunkach trudno bardzo zabrać się do złożenia życzeń „Wesołego Alleluja“, zwłaszcza, gdy się samemu nie wierzy, że się one mogą spełnić, conajwyżej można je ograniczyć do wyrażenia nadziei, że doczekamy się może chwili polepszenia się stosunków, kiedy to jednak nastąpi, to tajemnica, której nie rozjaśni nawet konferencya genueńska zwłaszcza właśnie w celu odbudowy zniszczonych wojną krajów, mająca zatem na celu ułatwienie nam egzystencyi. Na ową konferencyę wybierał się też i kronikarz, aby zasięgnąć tam osobiście języka, ostatecznie zdecydował się pozostać na miejscu, gdy się pokazało, że Ameryka, bez której udziału całe przedsięwzięcie musi być bezcelowem, nie myśli kłopotać się tem, co się dzieje w Europie, a ci, którzy mają się zająć sprawę odbudowy, radziby ją przeprowadzić w ten sposób, aby sami mogli na tem zrobić jak najlepszy interes, tak materyalny, jak i moralny. Z przedwstępnych pertraktacyi, przeprowadzonych na rozmaitych zjazdach, wynika zupełnie jasno, że kraje, zniszczone wojną i potrzebujące odbudowy, dostałyby się poprostu w najzupełniejszą zależność od międzynarodowego kapitału, który, sam nic nie ryzykując, zrobiłby na nich prawdziwie kokosowe interesy, dyktował im swą wolę i uzależnił je od swych grymasów. Mali paskarze i lichwiarze drą skórę, gdzie się da, w zupełnie podobny sposób chcieliby sobie postąpić wielcy, nigdy nienasyceni, pragnący ciągle nowych zysków.

Jeśli z tego punktu widzenia patrzymy na odbyć się mającą konferencyę w Genui, zupełnie nam wszystko jedno, czy się ona odbędzie, czy nie, a jeśli dojdzie do skutku, jakie będą jej wyniki, tak bowiem, czy owak, nic dobrego ona nam nie wróży i, kto wie, czy nie byłoby lepiej dla nas, gdyby przy sprawie odbudowy kazano nam liczyć tylko na swe własne siły, a nie oglądać się na obcą pomoc. Do konferencyi przygotowywano się, jak się pokazuje, bardzo energicznie, a świadczy o tem choćby fakt, że archiwum angielskie, zawierające materyały do obrad, pomieszczono w dwudziestu workach i wysłano na miejsce, po drodze jednak znalazł się ktoś ciekawy, chcący przedtem jeszcze wglądnąć w te akta, zginęły zatem, co może być powodem, iż konferencya do skutku nie dojdzie. Minister Poincare nie zdecydował się dotąd na wzięcie udziału w obradach konferencyi, wobec czego pozostałaby ona w danym wypadku jedynie aktem ogłoszenia swojej woli przez Anglię, która myśli przedewszystkiem o swych interesach, a nie o spieszeniu komuś z pomocą. Pojawiają się ponadto głosy, że wobec ewentualnej umowy gospodarczej, mającej być zawartą między Anglią a Ameryką, konferencya w Genui będzie bezprzedmiotową.

Miał zatem kronikarz racyę, że się do Genui nie wybrał, czasu i pieniędzy w ten sposób niepotrzebnie nie stracił, nie doznał rozczarowań, co zaś najważniejsze, umożliwiło mu to osobiste złożenie życzeń Czytelnikom, w czem miała go w danym wypadku zastąpić Weronika, mająca w tym roku więcej czasu, niż po inne lata, gdy absorbowały ją zupełnie przedświąteczne zajęcie gospodarskie, bez których jak się obecnie pokazuje, można nie tylko żyć, ale nawet być zbawionym. Jeszcze lat temu dziesięć wstecz nie wyobrażaliśmy sobie świąt Wielkanocnych bez szynki, kiełbasy, jajek, rozmaitego rodzaju bałabuchów z odpowiednią ilością i jakością rozmaitych płynów, oczywiście nic z wodą wspólnego nie mających, dziś przekonujemy się, że się bez tego obejdzie, a nawet zdrowie wiele na tem zyskuje. Można zatem śmiało powiedzieć, że nastrój świąteczny, tak dawniej podniosły, dziś równa się zeru, łatwo też sobie wytłómaczyć, jak trudno kronikarzowi wpaść na odpowiedni ton, aby raz przecie zacząć i skończyć życzenia, do których zabiera się od początku kroniki, a jakoś nie może się zdobyć na krok stanowczy.

Ponieważ obecnie panują w świecie prądy wywrotowe, dążące do zmiany obecnych stosunków w najrozmaitszy sposób, nie gwarantując oczywiście, czy na lepsze, kronikarz pójdzie w tym roku za ogólnym duchem i życzenia swoje skonstruuje mniejwięcej wywrotowo, t. j. takim, jak sam, golcom życzy, aby znaleźli się w tem położeniu, oczywiście materyalnem, nie moralnem, jak ci którym stale zazdroszczą, widząc jak im wszystko idzie niczem z płatka, tym drugim zaś, aby jak najrychlej znaleźli się w roli pierwszych, t. j. powrócili do swych przedwojennych czasów, kiedy to im ani się nie śniło o tem, że dzięki ludzkiej krzywdzie, zostaną milionerami, a nawet miliarderami, bo obecnie i o takich u nas nie trudno. Wówczas powiedzielibyśmy, że istnieje na świecie sprawiedliwość, narazie musimy dojść do przekonania, że i ona skutkiem wojny ucierpiała i zasługuje w zupełności na to, aby ją umieścić w jakiemś przytułku dla nieuleczalnych.

Wyobrażamy sobie, jaki przewrót na świecie wywołałoby spełnienie się tegorocznych życzeń świątecznych. Ci, którzy ósmy z rzędu rok na biedę narzekają, odetchnęliby — raz przecież, gorzkie żale natomiast zaczęliby śpiewać dotychczasowi ich ciemięzcy, nie znający obecnie litości ani pardonu.

Nastąpiłaby wówczas taka ogólna zmiana frontu, jak owa, którą spodziewamy się ujrzeć podczas wielkich narodowych igrzysk olimpijskich, mających się odbyć na Podgórzu podczas Rękawki, gdzie jednym z głównych punktów atrakcyjnych będzie wspinanie się po słupie, na którego szczycie umieści komitet zupełnie autentyczną szynkę, parę trzewików i inne podobnie cenne nagrody, przeznaczone dla zwycięzców. Na posiedzeniu komitetu zarządzającego zastanawiano się nad tem głęboko, czy ten punkt programu, ma wogóle racyę bytu i czy znajdzie się odpowiednia liczba ubiegających się o podobne nagrody, zwłaszcza jeśli się zważy, że obecnie zniknął z horyzontu cech tak zwanych andrusów, którzy na rozmaitych rodzajach pasku dorobili się pokaźnego majątku i dziś odgrywają rolę gentlemanów, noszą modne ubrania, na wódeczkę chodzą do Maurizia, obiady jadają w pierwszorzędnych restauracyach. Ostatecznie zdecydowano się, dla uświęcenia tradycyi punkt tego programu pozostawić i zrobiono dobrze, jak się bowiem dowiadujemy z dobrze poinformowanych źródeł do zawodów mają się zamiar zgłosić rozmaici przedstawiciele umysłowo pracującej inteligencyi, nimający w inny sposób nadziei zdobycia podobnie cennych przedmiotów, należących w obecnych warunkach w ich sferze do marzeń, nigdy spełnić się niedających. Udział swój zgłosiło już wielu profesorów uniwersytetu, urzędników publicznych i prywatnych (nie zajmujących się paskiem), nie mówiąc już o literatach i dziennikarzach, którzy mają się stawić in gremio. Na przeszkodzie bardzo wielu z nich staje jednak ta przykra okoliczność, że dolne części ich garderoby, przedewszystkiem w okolicy t. zw. siedzenia, przedstawiają tak opłakany stan, iż zmusza ich to do stałego używania długich surdutów, zakrywających przed okiem ludzkiem te nieszczęsne braki, które jednak, podczas wspinania się na słup i przy panującym stale na Krzemionkach wietrze, musiałyby ujawnić się oczom zebranej publiczności i obrazić niejedno uczucie wrodzonej wstydliwości. Z tego powodu i kronikarz zrezygnował z zamiaru spróbowania swej zręczności, choć bardzo nęci go nadzieja zdobycia w tani sposób, jeśli nie szynki, to bodaj pary trzewików, których brak bardzo mu się przykro daje zwłaszcza w porze deszczowej odczuwać.

I to właśnie garderobowe defekty są przyczyną, że coraz rzadziej widzi się ludzi ubranych w tak dawniej popularne marynarki, coraz częściej zaś w długie angielskie surduty wytarte oczywiście należycie na łokciach i plecach, lecz zakrywające szczelnie tak z przodu jak i z tyłu wszystko to, co dla ludzkiego oka powinno być niedostępnem. Ten uroczysty strój, jako dodatek do nosów spuszczonych na kwintę i bardzo rzadkich min, będących następstwem coraz to pomyślniejszych konjunktur, nadają rodzajowi męskiemu wygląd karawaniarzy. W zupełnem przeciwieństwie znalazła się natomiast płeć nadobna, którą coraz to krótsze spódniczki czynią podobną do baletnic, co, jeśli dany osobnik jest jeszcze młody i przystojny, wygląda jakoś znośnie, w późniejszym natomiast wieku robi bardzo przykre wrażenie, przypominając postacie, jakie się niegdyś widziało tylko w pismach humorystycznych. Komicznie wprost wygląda małżeńska para, on wyangleżowany, ona podkasana, jak gdyby wybierała się do kąpieli.

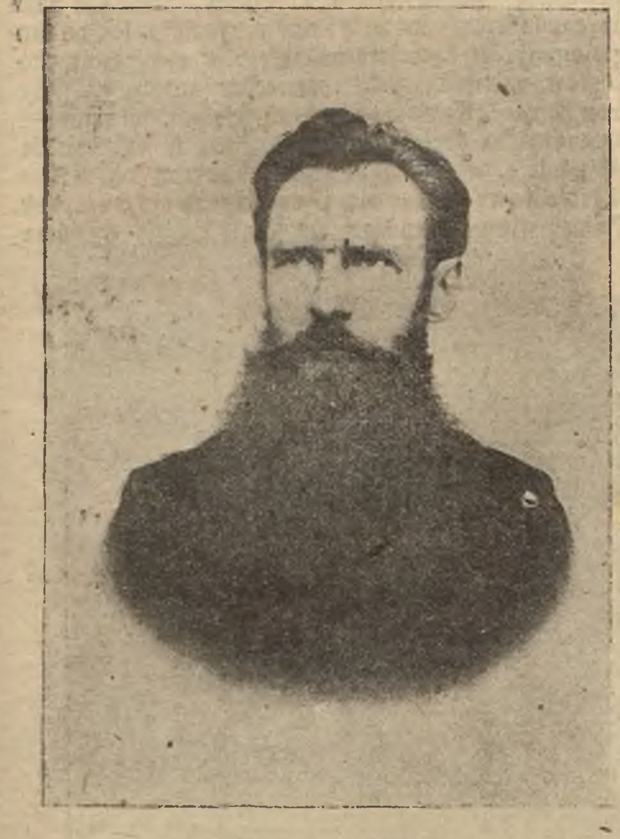
Cieszyliśmy się, że dzięki panu ministrowi skarbu, który na pewien czas zawiesił cło od najniezbędniejszych artykułów, służących do ubrania, będzie można bodaj na święta zaopatrzyć się w jakiś szczegół garderoby, pokazało się jednak, że owo zniżenie cła o dziewięćdziesiąt procent nie wyszło bynajmniej na korzyść kupujących, lecz wyłącznie sprzedawców, którzy powiedzieli sobie, że w ten sposób będzie można odbić sobie z nawiązką zapłaconą daninę i cen nie tylko nie zniżyli, lecz w niektórych wypadkach nawet je podnieśli, tłómacząc sobie i całemu światu, że działają w ten sposób na korzyść zwłaszcza urzędniczego świata, ten bowiem będzie mieć powód do narzekania na drożyznę i doczeka się nowej podwyżki płac. Władze, zajmujące się walką z lichwą, gdyby tylko chciały, znalazłyby bardzo piękne pole do popisu i zyskania sobie wdzięczności tych biedaków, którzy noszą wprawdzie w swych portfelach nieraz i dziesiątki tysięcy, a mimo to odmawiać sobie muszą rzeczy najniezbędniejszych, nie mówiąc już o jakiś rozrywkach lub przyjemnościach, dostępnych dziś wyłącznie dla paskarzy i lichwiarzy. Pobiera wprawdzie najmizerniejszy urzędniczyna miesięcznie tyle, ile dawniej otrzymywał na rok prezydent ministrów, ale co mu z tego, jeśli codziennie na najskromniejsze utrzymanie domu trzeba wypuścić z kieszeni „lisa“, a bardzo często „tygrysa“. W takich warunkach w menażeryi kieszeniowej już w trzecim tygodniu każdego miesiąca okazują się pustki, czwarty zaś jest absolutnie niepotrzebny i powinien być z urzędu zniesiony.

Całe szczęście, że tegoroczne Święta Wielkanocne przypadają na sam środek miesiąca, że zatem przygotowania do nich rozpocząć się musiały zaraz po pierwszym, kiedy kieszeń nie była jeszcze w stanie zbyt opłakanym. Ten i ów poświęcił zatem dla tradycyi kilkanaście tysięcy, jakże przykrego doznał jednak rozczarowania, gdy się w rezultacie przekonał, że za tę kwotę nie ma ani połowy tego, co go dawniej kosztowało kilkanaście koron. O kupieniu na przykład całej szynki przeciętny śmiertelnik nie paskujący ani myśleć nawet nie może, byłby to bowiem wydatek, wyprowadzający najzupełniej z równowagi jego budżet domowy. To samo powiedzieć się musi o babkach, plackach, mazurkach i podobnych im słodkich specyałach, stanowiących niegdyś chlubę każdej gospodyni domu, wychodzącej z założenia, że święta bez nich nie byłyby świętami. Lata wojenne przekonały jednak, że można się obejść bez nich. Tegoroczne Święta Wielkanocne, ósme z rzędu od chwili wybuchu wojny światowej, nie będą zatem zbyt wesołe dla bardzo wielu, którym nie pozostanie nic innego, jak krzepić się wspomnieniami lat dawniejszych i nadzieją, że przecież może doczekamy się jeszcze powrotu dawnych czasów, kiedy to po czterdziestodniowej pokucie wielkopostnej przez dwa lub trzy dni było na porządku dziennym obżarstwo i pijaństwo, nie szkodzące tyle duszy, ile słabemu ciału, które potem trzeba było przez dłuższy czas doprowadzać do stanu normalnego, powtarzając sobie z poetą: „Szlachetnie zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz...“ Ta naprawa zdrowia była przed wojną niezbyt miłą, ale też nie kosztowała wiele, gdy natomiast dziś, przeprowadzona w najskromniejszy nawet sposób, pociągnęłaby za sobą wydatki, idące w dziesiątki tysięcy, powinno się zatem być zadowolonym, że się na nie narażać nie potrzeba, czyli, że „niema złego, aby na dobre nie wyszło“. Chyba aptekarze mogą narzekać, nie ulega jednak kwestyi, że ten „zawód“ odbiją sobie na czem innem.

Przejdą zatem święta dla większości prawie niespostrzeżenie, szczęśliwy, kto ma w rodzinie lub między bliższymi znajomymi paskarza lub lichwiarza, a choćby tylko pracującego fizycznie osobnika, ten bowiem znajdzie sposobność do przypomnienia sobie przedwojennych czasów i uraduje nie tylko wzrok i węch, ale też i inne zmysły, przedewszystkiem zaś smak.

Gdyby bodaj pogoda z Wielkanoc dopisała, możnaby użyć chociaż przechadzki, w niedzielę po mieście, w poniedziałek na Emaus, we wtorek zaś na Rękawkę, a może przecież spotkałoby się kogoś ze znajomych, który zwróciłby się z propozycyą, aby go odwiedzić i podzielić się z nim darami Bożymi, które nagromadził na chwałę Boga i na pożytek ludziom.

czną pojawiać. Są już bowiem wszystkie do druku przygotowane przez samego autora, którego stan wzroku tymczasem się polepszył, a który mimo to używa nadal tej samej metody tworzenia, i po przerwie, spowodowanej odwiedzeniem stron rodzinnych, zasiadł teraz do dyktowania piątej już książki powstającej w transie.



W śnie magnetycznym: Poeta i powieściopisarz Kazimierz Kalinowski.

Nie są to jednak pierwsze jego powieści. Nazwisko Kalinowskiego nie obce czytającej publiczności. Pierwsze swoje pieśni ogłaszał poeta już na ławce szkolnej. Później drukował mnóstwo utworów fantastycznych, które zjednały mu u krytyki zaszczytne imię polskiego Andersena. Przyznawała mu ona obok „piękności języka, czystość obrazów, lotność fantastyczną"; „sceny mocne o napięciu dramatycznem, plastykę figur wybitną"; a nadewszystko „niezwykłą oryginalność i przedziwną polskość. „Oto baśnie nasze, oto prawdziwa poezya!" — wołał z zachwytem krytyk warszawskiego „Tygodnika Ilustrowanego".

Po drobiazgach treści legendowej, nastąpił szereg powieści (częściej pod pseudonimem); to znów powstawały rzeczy dramatyczne, a wśród nich obok utworów realistycznych — misterya. W tych właśnie upodobał sobie autor najbardziej. Niektóre przeszły już i próbę ogniową sceny. Ale jeszcze mało kto, poza ciasnem kołem wtajemniczonych, zna najwyższe wzloty jego ducha — poezye mistyczne Kalinowskiego. Powstawały one przeważnie w samotni leśnego ustronia, dokąd poeta schronił się od zgiełku wielkomiejskiego, porzuciwszy dla lutni biurko redaktorskie, przy którem los więził go latami przez większą część życia — we Lwowie, w Krakowie, w Warszawie. Ale z pustelni wyrwała go znowu wojna światowa.

Nastało sześć lat niewoli w Rosyi. Tam jeńcowi zbiegł czas na pracy społecznej. Wśród rzeszy tułaczów na granicy Azyi organizuje szkoły polskie, kieruje akcyą oświatową i patryotyczną; a jako prezes instytucyi ratowniczych troszczy się nietylko o chleb i dach dla ziomków-wygnańców; idzie mu głównie o ich duszę: byle ocalić ją dla Polski, uchronić od zarazy... A przez cały czas nie zaniedbuje żadnej okazyi i żywem słowem natchnionem krzepi słabnącą wiarę rodaków, którzy dziś, po powrocie do kraju, wspominają go z wdzięcznością. Kiedy zaś spełnił swój obowiązek do ostatka — ocala się ucieczką z piekła bolszewickiego, by powrócić do pracy w wyzwolonej Ojczyźnie.

I oto tutaj zaczyna się nieoczekiwanie dla Kalinowskiego nowy okres twórczości: „w transie" — i zapewne, nawet pomimo woli poety, nigdy nie szukającego rozgłosu — wywoła wokół jego osoby sensacyę z powodu owych dziwnych powieści, których dosłownie sam nie pisał, a które — jak się wyraża autor przedmowy do pierwszej z tych książek — „rodziły się w tajnikach jego twórczego ducha w takich bolach, że trzeba było w nim uśpić świadomość na godziny wyłaniania się z mroków chaosu na światło dzienne owych tworów niesamowitych... Wypływając z głębin podświadomości — mogą zaś one przynosić rzeczy tak dla świadomości ludzkiej niespodziewane, tak nowe, — że z pod grubych pokładów zewnętrznych dobyć ich zdolen ze źródeł wnętrza duchowego jedynie sen magnetyczny". *Prof. H. F.*

Redakcya *Nowości Illustrowanych* w uzupełnieniu powyższego artykułu dzieli się z Czytelnikami nowiną, że pozyskała od p. **Kazimierza Kalinowskiego** prawo druku jednej z pierwszych książek dyktowanych przez niego w transie, a wybrała z pośród nich najaktualniejszą, p. t.:

„Z oparów krwi."

Druk tej naprawdę senzacyjnej powieści rozpoczniemy w najbliższym numerze.



Uroczyste losowanie nagród w „Gońcu Krakowskim": Budynek redakcyi „Gońca Krakowskiego" w chwili losowania nagród. Na balkonie orkiestra kolei elektrycznej z kapelmistrzem Tesarzikiem.

(Zjęcie fotografa Józefa Neidra).



Uroczyste losowanie nagród w „Gońcu Krakowskim": W środku grupy, zdjętej w redakcyi stoją: naczelny redaktor Stanisław Zachariasiewicz, dr. Osterman, prokurzysta „Spółki Akcyjnej Wydawniczej" radca Maryan Fontana, dyrektor administracyjny i autor szarady; na krześle siedzi redaktor Leon Danilak, projektodawca i referent imprezy szaradowej. (Zdjęcie fotografa Józefa Neidra).

Uroczyste losowanie nagród „Gońca krakowskiego";

Przed dwoma tygodniami redakcya „Gońca Krakowskiego" ogłosiła dla swoich czytelników szaradę Wielkanocną, przeznaczając 80 nagród w drodze losowania za trafne rozwiązanie tejże. Ponieważ zgłoszeń było bardzo wiele, przeto w ostatniej chwili ilość nagród podwyższono do sto, na które składały się: szynki, kiełbasa, kawa, cukier, mąka, czekolada, orzechy, wódki, miody, torty, książki, bezpłatne prenumeraty, lampa, flakon i duży obraz pędzla Witolda Olpińskiego. Uroczyste losowanie, do którego dopuszczono 4154 osób odbyło się ubiegłej niedzieli przy współudziale Czytelników, którzy w budynku „Gońca" tłumnie się zjawili tak, że policya zmuszoną była utrzymywać porządek.

Oczekującym wyniku losowania chwile uprzyjemniała orkiestra tramwa arzy. Losowanie było publiczne, udział w niem brali interesowani, a pokaźna część wartościowych nagród dostała się mieszkańcom Krakowa.

Profesor Einstein w Paryżu.

Że nauka jest międzynarodową, jak być powinno, świadczy przyjęcie, jakiego doznał w stolicy Francyi niemiecki uczony, prof. Einstein, autor słynnej teoryi o bezwględności. Jak wiadomo, przybył on do Paryża celem wygłoszenia odczytów o swej teoryi, witany tam owacyjnie. Na odczytach tych są obecni prawie wyłącznie akademicy i uczeni. Otóż w kołach uczonych paryskich wywarła wielkie wrażenie wiadomość,



Profesor Einstein w Paryżu: Niemiecki uczony, prof. Einstein, autor teoryi o bezwględności.

nadeszła z Genewy, iż pan Edmund Guillaume, bardzo wybitny szwajcarski uczony, dopiero co wykrył fundamentalny błąd w teoryach Einsteina. Pan Guillaume weźmie udział w konferencyach Einsteina w Paryżu i jest rzeczą prawdopodobną, że pomiędzy tymi dwoma uczonymi rozwinie się dyskusya publiczna.



Królowa Paryża: Germana Buchet, wybrana na r. 1922 „królową królowych", w swym stroju koronacyjnym.

Na polu politycznem są Francuzi wrogami Niemców, co jednak zupełnie nie przeszkadza, że wybitne talenty jednego narodu cieszą się zasłużonem uznaniem drugiego. Niemieckim uczonym zarzucano często zbytnią pyszałkowatość i powierzchowność, czy zarzut ten nie odnosi się także do Einsteina, wykaże może prof. Guillaume.

Królową Paryża.

Choć stolica republiki, ma Paryż „swą królowę królowych", wybieraną corocznie z pośród najpiękniejszych dziewcząt nadsekwańskich. Jest to starodawny zwyczaj karnawałowy, uświęcony wiekową tradycyę, że poszczególne dzielnice obierają swe królowe, te zaś „królowę królowych", której intronizacya odbywa się przy zastosowaniu pięknego ceremoniału w teatrze Trocadero.

„Królową królowych" w ubiegłym roku była Yvonna Bèclu, na rok bieżący oddał los berło pięknośei w ręce Germany Buchet, sympatycznej, dwudziestoletniej dzierlatki, która z całym majestatem zasiadła na swym tronie, a jako prezent koronacyjny otrzymała piękną kasetkę, zawierającą dwadzieścia tysięcy franków, to jest przy przeliczeniu na naszą walutę — około siedm milionów marek polskich.

Czy władza królewska złożoną została w odpowiednie ręce, niechaj rozstrzygają o tem Czytelnicy.

Dziwactwa mody.

Mody przedewszystkiem o ile to dotyczy strojów kobiecych, podlegają tak często i tak dziwacznym ciągłym zmianom, że, oglądając się o kilkanaście lat wstecz poza siebie, poprostu wierzyć się nie chce, iż w podobnym stroju mogła się pokazać oczom ludzkim szanująca się kobieta. Najstarsi z nas pamiętają jeszcze słynne krynoliny, tamujące ruch na chodnikach miasta, potem przyszła kolej na długie ogony, wyręczające magistrat w zamiataniu chodników, przeraźliwych rozmiarów turniury, przypominające „Konika zwierzynieckiego", obecnie suknia damska staje się coraz krótsza i, jeśli tak dalej pójdzie, w niedługim czasie zmieni się w opaskę biodrową, stanowiącą zwykły strój murzynek. To ustawiczne skracanie sukni nie da się wytłómaczyć względami oszczędności, im suknia bowiem krótsza, tem dziś modniejsza, a zatem i droższa.



Dziwactwa mody: Modne stroje damskie z r 1921 i sto lat temu wstecz.

Illustracya nasza przedstawia dwie elegantki w strojach modnych z r. 1821 i 1921. Lat temu sto wszystko było długie, dziś elegantka wygląda jak podkasana, co bynajmniej nie dodaje jej wdzięku, szczególniej, jeśli matka przyroda obdarzyła ją zbytnią tuszą lub wzrostem a nadto odmówiła jej urody, bo ładnej wybaczy się, choćby się nawet i dziwacznie ubrała.

Kobiety policyanci w Ameryce.

Ameryka, która przoduje mam pod każdym względem i na polu bezpieczeństwa publicznego wprowadziła u siebie nowości, w Europie nieznane. Do ich rzędu należy powołanie w Stanach Zjedno-

czonych do służby przestrzegania porządku publicznego kobiet policyantów, wywiązujących się nie gorzej od mężczyzn z pełnienia swego trudnego zadania. Trzeba jednak przyznać, że w Stanach Zjednoczonych wykonywanie tych obowiązków ułatwia poszanowanie, z jakiem spotykają się wszelkie zarządzenia urzędowe. Wystarczy tam zupełnie rozkaz słowny, nie potrzeba się uciekać do siły fizycznej, służbę bezpieczeństwa w najruchliwszych nawet dzielnicach pełnić może nawet kobieta. Wystarczy jedno skinienie ręką, aby na chwilę wstrzymać zupełnie ruch kołowy i umożliwić w ten sposób przechodniom swobodne i bezpieczne przejście z jednego chodnika na drugi. Kobiety policyanci mają też



Kobiety policyanci w Ameryce: „Kapitan" Anna Wademan podczas pełnienia służby ulicznej.

i swojego komendanta w spódnicy, a jest nim „kapitan" Anna Wademan, dowodząca oddziałem złożonym z tysiąca głów istot rodzaju żeńskiego, przyodzianych w mundury urzędowe i stojących na straży prawa.

Niezwykła zabawa sportowa.

Anglia jest kolebką wszelkiego rodzaju sportów, liczących tam setki tysięcy fanatycznych wprost zwolenników, którzy, uznawani przez świat cały za ludzi myślących tylko o interesie, potrafią przecież zawsze znaleźć dosyć czasu na zajęcia sportowe. Stanowią one dla Anglika przyjemną i pożyteczną rozrywkę, wpływają korzystnie na stan jego zdrowia, a praktyczny angielski umysł umie je pogodzić



Niezwykła zabawa sportowa: Ciesząca się obecnie popularnością w Anglii gra w piłkę, podbijaną strumieniem płynącej wody.

i z interesem, najzwyklejsza bowiem zabawa daje sposobność do robienia zakładów, ulubioną manią każdego Anglika.

Sporty w Anglii rozwijają się też bardzo pięknie i stąd dopiero rozchodzą się po całym świecie, zyskując sobie coraz szersze koła zwolenników. Wszelkiego rodzaju gry w piłkę cieszą się tutaj ogromną popularnością, do najoryginalniejszych przecież należy ta odmiana, przy której siłę, podrzucającą piłkę, stanowi strumień wody, wypuszczony z wylotu sikawki. Scenę z matchu tego rodzaju przedstawia illustracya, zamieszczana w niniejszym numerze. Jest to ulubiona zabawa angielskich strażaków ogniowych.

Nr. 5 „DZIATWY POLSKIEJ", popularnego dwutygodnika dla najmłodszych czytelników, wychodzącego w Krakowie, XV, ul. Kazimierza Wielkiego l. 95, — opuścił prasę drukarską i jest wszędzie do nabycia. Jak poprzednie numery, tak i bieżący, odznacza się doborową treścią, do obudzenia zainteresowania przyczyniają się nadto udatne ilustracye, co wszystko razem dowodzi, że Redakcya nie szczędzi trudów, aby swym czytelnikom zapewnić pożyteczną a przyjemną rozrywkę.

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego